



JÓZEF RĄCZKOWSKI.

Wilia rodziny Drzazgów.

Zmrok już zapadł. Ulice opustoszały, w oknach zajaśniały światła, całe miasto zapadło w dziwnie uroczysty nastrój. Rzekłbyś, że nad tym ruchliwym, wiecznie falującym zbiorowiskiem ludzi rozplomiły się w mroku białe skrzydła anioła Pokoju i w serca ludzkie spłynęła z nich jasność i pogoda.

Staszek Drzazga, wysoki, dorodny chłopak, leżał na żelaznym studenckim łóżku i paląc papierosa patrzył w mrok, który coraz bardziej napływał do małego pokoiku na poddaszu, kładł się na skromnych sprzętach, pełzał po ścianach i tumanem spadał na podłogę. Patrzył Drzazga w ten mrok, puszczał kłęby dymu z papierosa i dumał. Wtem drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł student, w gimnazjalnym płaszczu i z jakąś białą paczką w ręku.

— Staszek! Spisz?

— Nie. Myśle...

— I dużoś wymyślił?

— Eh!... — odparł z niechęcią i zaciągnął się jeszcze silniej dymem.

— Ładna wilia! — ozwał się przybyły, rozbierając się i wyjmując z kieszeni rozmaite torebki i paczki. — Przyniosłem cukru, herbaty, chleba i jakiejś padliny, będziemy mieli święta... Cóż, ty nic na to?

— Niech to wszyscy dyabli wezmą! — zachnął się Drzazga i zerwał się z łóżka. Zaczął szybko chodzić po pokoiku, podszedł ku oknu, przystanął, popatrzył na ulicę i znowu rzucił się na łóżko. — A ludzie to jakby powaryowali! Weselą się, radują, cieszą z tego, że przepościwszy się cały dzień, wypełnią sobie wieczorem przyzwocie puste żołądki.

— Ha, no! — westchnął kolega żałośliwie. —

Jednak wilia to naprawdę wielkie święto. To się czuje dopiero, gdy się — jest zdala od rodziny, krewnych... Hej, miły Boże!... Jak to tam u nas teraz na wsi wesoło! Może w tej chwili zasiadają do wigilijnego stołu... Ojciec, matka, siostry. — A potem stary Wyrwa huknie sobie z całej piersi: „Wśród nocnej ciszy!” — tóż to dopiero w sercach granie... a w duszach wesele...

Zamilkł, siadł na łóżku i zapaliwszy papierosa pograżył się w marzeniach. Zbudził go ostry głos Drzazgi:

— Jasiek!

— Czego?

— Zaświeć lampę....

Ta ciemność zaczyna się ciężarem zwać na duszę.

Jasiek zapalił lampę i rozglądał się po pokoju. Prócz dwóch łóżek, stołu, dwóch stolików, umywalki i półek z książkami nie było w nim nic więcej. Światło małej lampki rozświetlało ledwie do połowy mrok, a w tem półświecie pokój studencki stał się dziwnie ponurym; znać było, że się w nim zagnieździła nędza, że obaj ósmioklasiści, w gimnazjalnych mundurkach ze złotymi paskami na kołnierzach, żyli zawsze pod jej upiornymi skrzydłami.

— Jak tu okropnie smutno! — rzekł Wyrwa.

— Zawsze jest tak samo, nie tylko dzisiaj...

— Ha! Juści prawda, że zawsze.

Nalał spirytusu do maszynki i zaczął gotować herbatę.

— Wiesz, Staszek, że jeśli przez święta nie zdechniemy z głodu, to jeno dzięki tej pocziwej sklepikarce, która mi wszystko dała na kredyt. Dobrze babisko — i lubi nas! Jak zostanę doktorem, to ją będę darmo leczył, jak Pana Boga kocham!

I znowu pokój zaległa cisza, głucha, ponura, przerywana jeno sykiem maszynki spirytusowej.

Drzazga podszedł do okna. Oparł się o futrynę i patrzył na ulicę. Patrzył nieruchomy, milczący. Naraz z ust wyrwało mu się, jakby gwałtem tłumione:

— Psiakrew!

— Cóż ty tam takiego widzisz? — rzekł Wyrwa i również zbliżył się ku oknu.

— Patrz!

W naprzeciw leżącej kamienicy na drugim piętrze jaśniały wszystkie okna. Wesołe z nich biło i radość, jakby w tym domu zapanowało wielkie szczęście. Biedni studenci patrzyli — milcząc. A tam właśnie rodzina jakaś zasiadała do wigilijnej wicherzy. Widzieli, jak ojciec rodziny łamał się opłakiem z żoną, dziećmi, jak dzieciaki zapaliły dzie-

siatki świateł na choince, jak cały pokój rozgorzał jakąś promienną jasnością, jak wreszcie cała rodzina usiadła przy stole...

Po chwili Wyrwa odszedł od okna.

— U nas, w domu, pewnie tak samo... choinki niema, ale radość tasama, a może i większa... No, trudno. Roztkliwiać się nie można... Ojciec tam pewnie teraz o mnie wspomina, chudзина... Spodziewał się pewnie, że syn, student, przyjedzie na święta... Ha, no, cóż ja winien, że ojciec mi nie mógł przysłać na drogę i że ja sam nawet na te głupie sześć koron zdobyć się nie mogłem... Chodź, Staszek, zjemy i my trochę tej padliny... Ojcu i tak, choć bieda w chałupie, weselej! Przecie dzieci są przy nim, a że jednego brak... Chodź, Staszek!...

Rozpakował szynkę i bułki, nalał herbaty... Zaczęli jeść.

— No ozwiże się, Staszek! Nie siedź, jak struty!

— Kiedy — tak mi jakoś dziwnie... Nie wyobrażałem sobie, że to tak okropnie przykro spędzać wilię ot tak, jak my ją dzisiaj spędzamy... Byłbym psiakrew, książki sprzedam, a pojechał na święta...

— Tak, książki z pomocy koleżeńskiej... — rozśmiał się Wyrwa. — Widzisz, dla takich chamskich synów, jak my, co to nie mają ani bogatych rodziców, ani szczęścia, co się pchają do nauki, że tak powiem, wbrew woli Boskiej, która ich stworzyła nędzarzami, to sentymentalizm jest nieszczęściem.

— Pleciesz, a sam w to nie wierzysz. Juści, ty bodaj masz całą rodzinę w domu, więc, jeśli nie jesteś na wili, to najbardziej odczuwasz to sam tylko. Ale ja — ojciec i siostra w Ameryce, brat



starszy przy wojsku — w domu zama matka, biedna komornica... Jej nikt na wilię nie zaprosił, choćby ze złości za to, że ja, syn biednego komornika, kończę gimnazjum, podczas gdy gospodarscy synowie w pierwszych klasach poprzepadali. Ja, widzisz, czuję, jak tam matce teraz przykro... Żeby choć brat przyjechał, kiedy ja nie mogłem...

— Ha, no! — szepnął Wyrwa i zaczął z pasyą krajać chleb. — Jeden dzień — mniejsza o to!

— Jeden dzień... prawda. Ale ten dzień ma w sobie urok nieprzewyciężony. Widziałeś przez okno...

— Ot, całe nieszczęście, widzisz, że my biedacy, co się o własnych siłach pchamy przez gimnazjum, musimy zawsze na ludzkie szczęście patrzeć — przez okno. My już mamy takiego specjalnego pe-

